

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

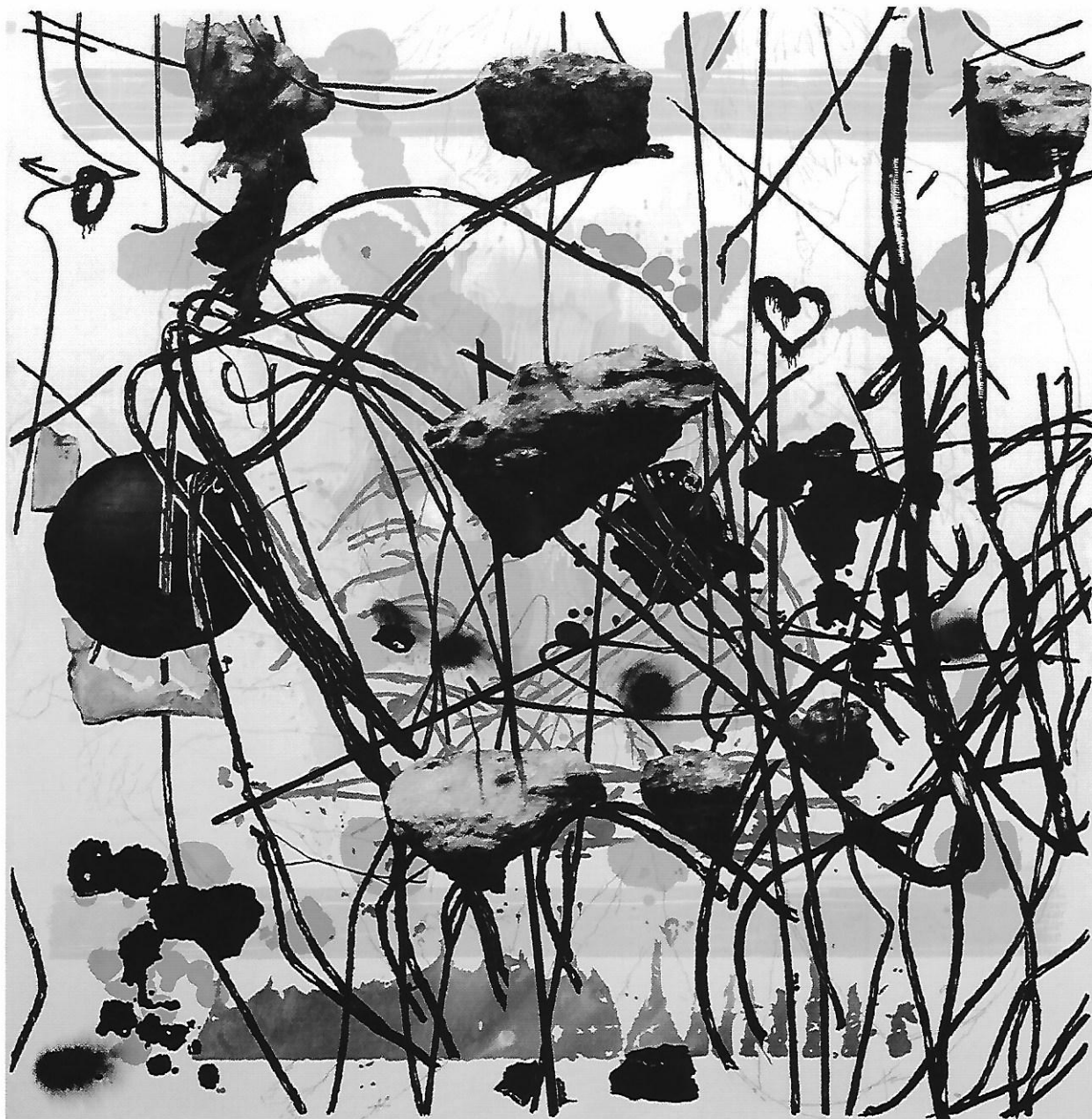
SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 2 (292) • ROK XXVI • LUTY 2020



W STRONĘ
SZTUKI

ISSN 1425-3917



02

9 771425 391707

Naprawdę czujesz się aktorem historyczno-panicznym?

Mam przed każdą premierą takie odczucie, że to jest moja ostatnia sztuka. Koszt pracy jest zawsze tak ogromny, że myślę wtedy o końcu. Tak miałem po *Osach* w reżyserii Iwana Wyrpajewa w warszawskim „Och-Teatrze”. Przebrnąłem psychicznie *Wujaszka Wanię*, który był moim pierwszym gościnnym spektaklem i bardzo dużym wyzwaniem. Zresztą tego samego reżysera. Ale po *Osach* powiedziałem do żony, że to moja ostatnia sztuka.

Z czego to wynika?

Trudno powiedzieć. To się ciągnie za mną już od szkoły średniej, w której też występowałem w jakichś przedstawieniach. Ja nie potrafię odpuścić. Ostatnio Basia Lubos powiedziała mi, że czeka na taką próbę, na którą przyjdzie reżyser i powie, żebyśmy zrobili sobie coś lajtowo, na spokojnie, luźno i ja to rzeczywiście zrobię, że nie będę stuprocentowy. Ale ja nie umiem inaczej. I dlatego właśnie, że koszt psychiczny jest tak wielki, moje zmęczenie jest jeszcze większe. Nie daję sobie czasu na odpoczynek, a także na dystans – na przykład, że mogę zrobić coś złe.

Trochę to dziwne, bo nie powinienes mieć powodów do niepokoju. Twoje role są zawsze przynajmniej dobre, otrzymujesz za swoją pracę nagrody, przybywa Ci wielbicieli. To nie są dla Ciebie dowody na rzetelność?

A mnie ciągle przyświeca piłkarskie powiedzenie – „Jesteś tak dobry, jak twój ostatni mecz”. Często zastanawiam się, co powoduje, że coś jest dobre? Skąd się bierze to, że wychodzi się na scenę i ktoś mówi, że to jest w porządku? Wierzę w to i chcę wierzyć, że każdy, kto przychodzi do teatru, robi swoją rolę „na sto procent”, bo chce ją zrobić jak najlepiej. Bez tego ani rusz. Ale zawsze jest jakiś lęk, że coś może się nie udać...

Rozmawiamy w Kawiarni Fotograficznej. Przez okno widać gmach Teatru Śląskiego. Często na niego spoglądasz....

Lubię na niego spoglądać, a jeszcze bardziej lubię w nim grać.

A grasz już w nim od dziesięciu lat...

Związek z Teatrem Śląskim to najlepsza decyzja mojego życia. Kilka lat temu nie wyobrażałem sobie nawet, że ktoś będzie chciał przyjść do tego teatru, by zobaczyć na scenie Darka Chojnackiego, chłopaka z Zabrza, z Kończyc. Zaczynałem we Wrocławiu. W Teatrze Pieśń Kozła. Musiałem podjąć trudną decyzję o rezygnacji. Wróciłem na Śląsk. Były momenty, że zastanawiałem się nad powrotem do Wrocławia, gdyż możliwości na Śląsku nie było zbyt dużo.

A jednak trafiłeś do Teatru Śląskiego...

Zaangażował mnie Tadeusz Bradecki, ówczesny dyrektor.



fol. Jacek Proszyk

Stworzony z miłości do Śląska...

Z DARIUSZEM CHOJNACKIM, aktorem teatralnym i filmowym, związanym z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach, rozmawia GRZEGORZ CWIERTNIEWICZ

Jak oceniasz tę dziesięć lat?

Teatr Śląski utwierdził mnie w postanowieniach, które podjąłem na drugim roku szkoły teatralnej. Obiecałem sobie wtedy, że nigdy nie będę obrażał się na małe role i nie będę uczestniczył w kłótniach, które miałyby ról dotyczyć. Obiecałem sobie, że nie będę narzekał.

Poznałem tutaj wielu aktorów, którzy do dzisiaj są dla mnie artystycznymi drogowskazami. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że ukształtowali mnie właśnie aktorzy śląscy. Rozwinęli mnie i aktorsko, i duchowo. Myślę tu nie tylko o tych najstarszych, ale również o moich rówieśnikach. Mam ogromną przyjemność z grania z aktorami, którzy też w swoim czasie podjęli decyzję, że będą grali właśnie w tym miejscu, a przecież mogli wyjechać i budować karierę w innych częściach Polski. Mam tu swoich mistrzów. To oni nauczyli mnie ciężkiej, czasem katorzniczej pracy, bez żadnego narzekania. To jest jedyna słuszna dro-

ga w tym zawodzie. Ona może kosztować psychicznie bardzo dużo, ale jest słuszna.

Kogo więc zaliczasz do swoich mistrzów?

Bezwzględnie Ewę Leśniak. Kocham ją całym sercem. To jest kobieta, która potrafi mnie skrzyknąć i powiedzieć: „Weź tego *Wujaszka*... Jedź do tej Warszawy. Doświadczaj. Dasz radę”. Na pewno Grażynę Bułkę. Grzegorza Przybyła. To jest aktor niepowtarzalny. Na skalę krajową. Gra zawsze „na tysiąc procent”. Poświęca roli bardzo dużo. I tej małej, i tej wielkiej. Wiesława Ślawika. Jako dojrzały facet, pokazuje mi za każdym razem, jak być młodym na scenie. Adama Baumaną. Czerpałem z jego warsztatu, intuicji i emocjonalności. Barbarę Lubos. Z nią każde spotkanie na scenie jest „jakiś”. My się żremy, kłócimy, kochamy. Zawsze jest „jakoś”. Wszystko dla dobrego aktorstwa.

Twoja żona, Agnieszka Radzikowska, również jest aktorką. Oboje pracuje-

cie w tym samym teatrze. Często występujecie w tych samych przedstawieniach. Ciekawa to sytuacja.

Bez Agi nigdy nie byłbym w tym mieście, w którym jestem. Ona wspiera, ona recenzuje, ona znosi rozstania. Jest wytrwała w trzymaniu naszej rodziny, a nie oszukujemy się – nie jest łatwo, kiedy we dwoje jest się aktorami. Ale myślę, że mamy do siebie ogromne zaufanie i wiemy, że największym naszym celem jest rodzina, że najważniejsze są dzieci. I to pomaga nam nie zwariować. Najpierw my, potem sztuka, pasje i tak dalej. W tym zawodzie najłatwiej wszystko i wszystkich zostawić, schować się za sztuką... Próbuje-my to ciągle odwracać.

Czym jest więc to dobre aktorstwo?

Nie potrafię go zdefiniować. Wciąż doświadczam go na nowo. Wiem jedno – każdy rodzaj aktorstwa jest potrzebny. Podobnie jak potrzebny jest każdy rodzaj teatru.

Ale jakaś aktorska idea Ci chyba przyswieca?

Jestem aktorem po to, żeby dawać życie postaciom.

Ożywasz je jednak według siebie. Przepuszczasz je przez siebie, przez swoje widzenie świata...

I przez swoją charyzmę. Uważam się za aktora intuicyjnego. Najpierw idę za emocją, później dołączam intelekt. **Podobnie, jak Grażyna Bułka i Barbara Lubos. Wspólnym mianownikiem waszego aktorstwa jest intuicja. Z tego aktorstwa intuicyjnego rodzi się „prawda”. Czyni was ona aktorami wyjątkowymi, tworzącymi wyjątkowe kreacje w wyjątkowym miejscu. Do tego dochodzi naturalnie warsztat.**

Ten rodzaj aktorstwa jest piękny, ale może być również przekleństwem. Wydaje mi się, że jestem zależny od tzw. trzeciego oka. Może nim być reżyser. Ja oddaję wszystkie swoje emocje, całe serducho. Wskakuję do swojej postaci „na główkę”. Cały. Mogę się w niej utopić. Reżyser musi mnie uważnie obserwować. I w razie czego – wyciągnąć. A jak się utopimy, to razem. Czasem można byłoby dodać więcej intelektu, ale wtedy mógłby on zaszkodzić prawdzie. Kontrolowanie się nie do końca jest dobre. **Aktorstwu intuicyjnemu można oddać się bez reszty, kiedy ma się bezgraniczne zaufanie do reżysera.**

Tak. Ale uważam, że można się łatwiej przewrócić. Jak ma się dobry tekst, wskazuje się i nie ma żadnego problemu. Ale jeśli ma się zły tekst i się wskoczy, jest się bez szans. I wtedy intelekt może wiele podpowiedzieć...

Wspomniałeś, że karierę rozpocząłeś we Wrocławiu...

Od Ad Spectatores i spektakli w reżyserii Macieja Masztalskiego. To, co imponowało mi w Ad Spectatores, to świetny, ludzki klimat. Masztalski potrafił taki

stworzyć. Zapraszał do współpracy osoby, które się genialnie w tym klimacie odnajdowały, ale i same go kształtowały. Za moich czasów teatr ten tworzyli sami młodzi ludzie. Pełni pasji, pełni poświęceń. Gotowi pracować przez całą dobę – w zimnie i za małe pieniądze. W różnych miejscach. Tak – siłą tego teatru była młodość.

Później był wrocławski Teatr Pieśń Kozła i spotkanie z Grzegorzem Bralem...

Na czwartym roku szkoły teatralnej Bral zaprosił mnie do współpracy. Bardzo mnie ona zbudowała. Bez Teatru Pieśń Kozła nie byłbym tym, kim jestem. To był krok milowy. Strasznie cierpi polski teatr instytucjonalny na tym, że rezygnuje z duchowości „pogrotowsko-gardzienickiej”. Ale z drugiej strony teatr „pogrotowsko-gardzienicki” odcina się od instytucji, uważając ją za coś niedobrego. W konsekwencji traci i jedni, i drudzy. U Brala nauczyłem się czułości na ciało, na partnera, na energię sceniczną. Dlatego zawsze staram się robić dookoła siebie dobry klimat, polegający na szczerzeniu dobra i miłości sceniczej między postaciami.

Dyplom zrobiłeś pod kierunkiem Krzesiśławy Dubielówny. Zagrałeś Zbyszka w *Moralności Pani Dulskiej*...

Krzesiśława Dubielówna potrafiła nas ustawić do pionu. Zwłaszcza tych, którym przychodziły do głowy różne głupoty po wyrwaniu się z domu czy zachłystnięciu się artystycznym światem... Aktorstwo, starsi koledzy... Wow! „Człowieku, wyjdź z sali, naucz się tekstu i przyjdź za pięć minut. A jak nie, to cię wyrzucę. Czy to jest jasne?” – mówiła. To była kobieta, która pomimo tego że miała wielkie serce, potrafiła przywołać do porządku. Wiele jej zawdzięczam. To jeden ze skarbów spotkanych na drodze, na drodze do zawodu.

Leszek Pułka napisał w jedynej pospektaklowej recenzji, że grałeś bardzo serio. Już wtedy zapowiadałeś się na aktora, dla którego jedną z wartości artystycznych będzie prawda.

Wrocławska szkoła jest właśnie taką szkołą. Szkołą prawdy. Trafiłem na genialny rok. To były fantastyczne spotkania z fantastycznymi ludźmi. We Wrocławiu nauczyłem się rzetelności i wiarygodności – tego, że postać musi być prawdziwa.

Nie zdecydowałeś się, żeby zostać we Wrocławiu.

Wyjechałem z dnia na dzień. Po trzech latach w Pieśni Kozła stwierdziłem, że muszę iść dalej. Obawiałem się, że jeśli zostanę, to już na całe życie, a dotychczasowa formuła teatru już się dla mnie wyczerpała. Dała mi dużo, ale już się wyczerpała. Myślałem jeszcze, że porozumiem się z Krzysztofem Mieszkowskim i zostanę aktorem Teatru Polskiego, ale on udawał, że mnie nie rozpoznaje...

Na weekend przyjechał do Wrocła-

wia mój przyjaciel. Kiedy odprowadzałem go do samochodu, powiedziałem, żeby poczekał chwilę, bo chcę powiedzieć moim znajomym, że wracam na Śląsk. Zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechałem. I już tam nie wróciłem... I nigdy nie żałowałem.

Czekano na Ciebie na Śląsku?

Nie chcieli mnie w Teatrze Nowym w Zabrzu. O angażu w Teatrze Śląskim, jak już wspominałem, nawet nie myślałem. Wydawało mi się, że jestem bez szans. W Bielsku-Białej spotkałem się z Talarczykiem, wtedy dyrektorem Teatru Polskiego, ale powiedział mi, że szuka amanta (*śmiech*). Zacząłem pracować jako stróż na targu, na Załężu. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Mateusz, mój przyjaciel z Zabrze, namówił mnie, żebym zawiózł chociaż do Katowic papiery. Pojechałem do Bradeckiego zupełnie obojętny i zrezygnowany. Chciałem mieć to za sobą. Zrobiła na nim wrażenie moja współpraca z Teatrem Pieśń Kozła. Po miesiącu zadzwonił do mnie, żebym zrobił zastępstwo w *Romeo i Julii*. I cała machina ruszyła...

Czy Śląsk Cię w jakimś stopniu ogranicza? Nie chciałeś stąd nigdy uciec?

Wręcz przeciwnie. Śląsk dodaje mi skrzydeł. Mam coraz większą chęć jeszcze większego się tutaj zakotwiczenia. Wyrpajew nawet ostatnio powiedział mi, że ten korzeń tożsamościowy mam wbity na długość tysięcy metrów pod ziemią. Chcę mieszkać na Śląsku. A Katowice są moją stolicą.

Pochodzisz z Zabrze. Przeczytałem, że Zabrze-Kończyce to dla Ciebie miejsce mistyczne.

Jestem tam prawie codziennie. Tam jest mój dom rodzinny. Tam mieszkają moi rodzice. Tam jest moje okno na świat.

I jaki świat z tego okna widzisz?

Mam przyjaciela, Janka Oslisło, syna jednego z najwybitniejszych grafików – Mariana Oslisło, byłego rektora Akademii Sztuk Pięknych. Oni mieszkają w Kończycach, przy ulicy Paderewskiego. Jednym z widoków, który towarzyszył mi przez całe dzieciństwo i życie młodzieńcze, był widok z pokoju Janka, z którego patrzyliśmy na główną ulicę – Kończycką. Staliśmy w oknie i słuchaliśmy godzinami muzyki. Ustalaliśmy, jak będzie wyglądało moje aktorstwo i jak będzie wyglądała jego reżyseria. Niedaleko był park i familok. Znam każde światło, które padało na niego przez te wszystkie lata. Drugim widokiem był kościelny ołtarz. Mieszkaliśmy naprzeciwko kościoła. To mój początek świata.

Teatr wygrał jednak z muzyką.

Teatr nie jest w moim przypadku na pierwszym miejscu. Na pierwszym miejscu jest muzyka. Muzyka jest moim sposobem na rolę.

Zastanawiałeś się kiedyś nad istotą śląskości?

Już od paru lat dochodzę do wniosku, że nie potrafię jej określić. To u mnie znowu sprawa intuicji. Budzę się rano i wiem, że jestem cały stworzony z miłości do Śląska, do szybów, do familków, do Matki Bożej, do zakładów, do ulic, do twarzy tych wszystkich ludzi, do dzielnic, do górników, do utraczonych przyjaciół moich rodziców. Wyssałem to po prostu z mlekiem mamy. Ma też na to duży wpływ tożsamość ojca – górnika z czarnymi oczami. Pamiętam stres matki, kiedy długo nie wracał do domu, kiedy zastanawialiśmy się, czy wróci.

Stoisz na stanowisku, że nie ma gwary śląskiej, że jest język śląski.

Tak. Dla mnie śląskość to również język śląski. Nie gwara. A język śląski. Chcemy go rozwijać. Chcemy, żeby to co zapisane jeszcze rozpisywać, żeby nie przepało.

Chcemy go rozintelektualizować. Chcemy go rozhułać. Pamiętam, że kiedy byłem w szkole podstawowej, język śląski był wstydlivy. Jeśli chciało się być z lepszej rodziny, nie można było mówić po śląsku. Mój ojciec wpoił mi, że powinienem być dumny z tego, skąd jestem i z jakiej rodziny się wywodzę. A wywodzę się z rodziny robotniczej, z rodziny górniczej. Powtarzał, że wcale nie jestem kimś gorszym i żebym nie dał sobie wmówić przez bogatych ludzi, którzy też wywodzą się z takich rodzin, ale im się udało osiągnąć dużo więcej, że jestem kimś gorszym. Matka jednego z moich kolegów zabroniła mi się ze mną kolegować, bo pochodziłem ze śląskiej rodziny. Do końca podstawówki mówiłem tylko po śląsku. W takim duchu zostałem wychowany. Nie wstydzę się tego, że „gołdom”.

Spektakl to gra zespołowa. Uczyłeś się tej gry na... boisku.

Miałem zostać piłkarzem. Ubzdurałem sobie, że jak nie będę do szesnastego czy siedemnastego roku życia grał w ekstraklasie, to rezygnuję z treningów. Wróciłem do domu i powiedziałem – koniec. Ojciec nie odczytywał się do mnie chyba przez rok. Energia sceniczna jest w pewnym sensie energią boiskową. Uważam, że jedną z najczystszych form teatru jest stadion. Tam dzieją się najprawdziwsze emocje. Długo słuchałem stadionu. Długo słuchałem jego reakcji. Do tej pory jeżdżę z tatą na mecze Górnik Zabrze. To dla mnie ważna część teatru.

Grałeś w przedstawieniach wielu znakomych reżyserów – Magdaleny Piekorz, Jacka Głomba, Radosława Rychciaka, Piotra Cieplaka, ale prawdziwych Ślązaków grałeś tylko u prawdziwego Ślązaka – Roberta Talarczyka...

Grając po śląsku, gram w swoim języku. Jest mi łatwiej. Śląskość to moja natura. Wszystkie te spotkania przy pracy nad przedstawieniami śląskimi dodały mi

pewności siebie. Robert zna ten świat i wie, o czym chce mówić. Ma różne okresy. Teraz na przykład się ze Śląskiem kłóci. I to jest piękne. Jest artystą, a artysta musi prowokować.

Piąta strona świata według powieści Kazimierza Kutza to Twój aktorski popis...

Dostałem od Roberta Talarczyka ogromne zaufanie. Ten spektakl ustawił mnie na zupełnie innych torach aktorstwa. Nie ma co ukrywać. W szkole aktorskiej wyzwania były duże, ale to po jej ukończeniu zaczyna się prawdziwe życie zawodowe. Propozycję dużej roli można dostać szybko, ale też można się jej nie doczekać. Rola Bohatera wydawała mi się prawie niemożliwa do wykonania. Po przeczytaniu tekstu, trzy dni siedziałem w domu i powtarzałem sobie, że jest ona nie do ogarnięcia. I psychicznie, i fizycznie. Zaufałem Robertowi, Robert zaufał mnie, a obaj zaufaliśmy Kutzowi. Premiera wrzuciła mnie do zupełnie innej szuflady – wewnętrznej, duchowej. Zrozumiałem wtedy, czym jest aktorstwo. Nauczyła mnie spokoju, a także pokazała, że wielkie wyzwania nie muszą powalać. Nauczyłem się, jak rozkładać akcenty na całą rolę. A przede wszystkim – jak zrobić dużą rolę.

Spektakl stał się też poniekąd Twoją trampoliną...

Zdecydowanie. I zawodową, i psychiczną.

Przy tej okazji poznałeś też Kazimierza Kutza.

Pierwsze spotkanie było trudne. Przyjechał do nas na próbę i nas zbluzgał. Postawił mnie przed sobą na dwie godziny. Mówiłem sześć zdań, a on mnie rypał równo. To było cenne doświadczenie. Nie dawałem sobie jednak w kaszę płuć.

Lubisz grać Ślązaków?

Kocham!

Prawie trzy lata temu podbiłeś Warszawę rolą Iwana Wojnickiego w *Wujaszku Wani* w reżyserii Iwana Wyrpajewa, grany zresztą do dziś Teatrze Polskim. Spotkałeś się w Andrzejem Sewerynem, Maciejem Stuhrem, Teresą Budzisz-Krzyżanowską i Karoliną Gruszką...

Do dziś pamiętam pierwszą próbę. Początek był trudny. Byłem wystra-

szony. Przyjechałem do mistrzów słowa. I w dodatku jeszcze Czechów. Seweryn ukomplementował Teresę Budzisz-Krzyżanowską, Macieja Stuhra, Karolinę Gruszkę, a do mnie powiedział – „Witamy, Darku, co ja mam ci powiedzieć? Cała Warszawa zastanawia się, kto to jest ten Darek Chojnacki. Wszyscy przyjdą zobaczyć...”. Na drugą próbę przyszedł już z rozpracowanym tekstem, z zaznaczonym każdym ważnym słowem... Dużo dało mi spotkanie z Maćkiem, Karoliną i Iwanem. Ten spektakl to był w moim życiu swoisty przełom. Cieszę się, że go zrobiłem. Ale chciałem wrócić na Śląsk. Uświadomiłem sobie, że ja wcale nie muszę być coraz wyżej i wyżej... Nie dostałem w Warszawie świadectwa, że wyżej znaczy lepiej. Mam wręcz wrażenie, że bardziej smutno, smutno, smutno, samotnie, samotnie, samotnie, pusto, pusto, pusto... Im większe role, im wyższa pozycja, tym większa samotność. Sława nie jest dla mnie kluczem do aktorstwa.

Rok później Wyrpajew zaprosił Cię do Teatru Polonia. Zagrałeś z Magdaleną Boczerską i Marcinem Dorocińskim w *Osach*...

Wydawało mi się, że po *Wujaszku*... jestem gotowy na to, by grać z Warszawie. Mam jednak wbitą tęsknotę za Śląskiem. Po miesiącu Marcin zauważył, że chodzę jakiś taki przygnębiony i smutny. Przyjechał do mieszkania, które wynajmowałem, spakował mnie i zabrał do siebie do domu. Przez miesiąc u niego mieszkaliśmy. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. To przyjemna część tego zawodu – poznaje się ludzi z ideami, ludzi, na których można liczyć. **Masz też szczęście do filmu. Wystąpiłeś między innymi w *Szczęściu świata* Michała Rosy, *Twarzy* Małgorzaty Szumowskiej, *Ikarze*. *Legendzie* Mietka Kosza Macieja Pieprzycy, *Bilecie na Księżyc* Jacka Bromskiego, za chwilę *25 lat niewinności*. *Sprawa Tomka Komendy* Jana Holoubka...**

Mam więcej szczęścia niż rozumu. Wszystko zależy od relacji. Poznałem w teatrze Jarosława Stypę, który zaproponował mi filmowcom. To on jest odpowiedzialny za moją filmową karierę i to jemu za nią powinienem dziękować. ■

Grzegorz Cwiertniewicz – doktor nauk humanistycznych (historia filmu i teatru polskiego po 1945 roku), polonista, wykładowca akademicki, autor biografii Krystyny Sienkiewicz – *Krystyna Sienkiewicz. Różowe zjawisko* (2015) oraz książki *Amantka z pieprzem* – wywiadu-rzeczki z Grażyną Barszczewską (2019); należy do Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych (AICT/IATC); jego teksty można przeczytać m.in. w „Teatrze”, „Śląsku” i „Polonistycie”; współpracował jako recenzent z Nową Siłą Krytyczną Instytutu Teatralnego im. Z. Raszewskiego w Warszawie (e-teatr.pl), wortalu „Dziennik Teatralny” i wortalu „Teatr dla Was”; obecnie związany z internetowym przeglądem teatralno-literackim „Yorick” Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych.